



**Dawnych wspomnień czar
czyli Towarzystwo
do Handlu ze Wschodem
im. Stanisława Wokulskiego**

Leszek Sawicki

Zastrzegam się, że towarzystwo takie nigdy nie powstało oficjalnie i nie miało swojego statutu, niemniej jednak istniało i działało w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Towarzystwo postępowało zgodnie z dewizą Stacha Wokulskiego (patrz: Bolesław Prus „Lalka”), aby wzmocnić stosunki handlowe ze Wschodem, dające jego uczestnikom satysfakcję materialną, a zarazem aby dostarczyć rodakom w kraju tego, czego najbardziej potrzebują w naszej nieszczęśliwej ojczyźnie. Towarzystwo rozpoczęło swą działalność w 1978 roku, w setną rocznicę pamiętnego zebrania u Księcia, na którym pan Stanisław Wokulski przedstawił swoją wizję handlu ze Wschodem.

W odróżnieniu od kręgu osób, które stworzyły ten ruch w Warszawie pod koniec XIX wieku (ziemian, arystokratów, kupców), w Towarzystwie wzięli udział głównie pracownicy naukowcy i przedstawiciele inteligencji twórczej, pochodzący z Wrocławia, Warszawy i Gliwic, nie zajmujący się dotychczas handlem – to jest „dokonywaniem ruchu dóbr materialnych między podmiotami w sferze produkcji oraz ze sfery produkcji do sfery konsumpcji za pomocą wymiany towarowej, realizowanej przez akty kupna-sprzedaży” (Wielka Encyklopedia PWN, t.11). Ich nazwiska, niestety, muszę pominąć, aby nie narazić się zasadom „Ustawy o ochronie danych osobowych”.

Prekursorami ruchu była czwórka przyjaciół, którzy w 1977 roku dokonali podróży do Afganistanu, Pakistanu i Indii, wioząc ze sobą po 130 przydziałowych dolarów w kieszeni, po jednym aparacie fotograficznym FED-4 i radiu ELA oraz z małą ilością tuszy do powiek i buteleczek wody kolońskiej „Być może...”. Wyniki zwiadu były zachęcające, mimo wysokich kosztów podróży (bilet lotniczy do Duszanbe i z powrotem, kosztował 4300 złotych) i mimo niskich uposażeń w kraju (pensja pracownika naukowego wynosiła ok. 6000 zł, nauczyciela 3600 zł), wrócili radośni, wioząc ze sobą po jednym kożuchu afgańskim na sobie, jednym w plecaku i jednym w paczce, wysłanej pocztą do kraju. Tak powstał tak zwany „Szlak Kożuchowy”, którym wędrowało w latach późniejszych wielu naśladowców. A w Polsce musiały być wówczas solidne mrozy i popyt na kożuchy tak wielki, że wyprawa przyniosła nawet skromny profit.

Już w dwa lata później (1979) wyprawa Towarzystwa, w składzie 11 osób, ruszyła podobnym szlakiem na Wschód, tym razem wioząc w plecakach wszystko, co przepisy celne pozwalały wziąć za granicę, w ilościach przepisowych. Pojechały więc: magnetofony Grundig, zegarki Ruhla, suszarki do włosów, radia Dorota i Ela, oraz – kupowane w NRD (Niemieckiej Republice Demokratycznej – było kiedyś takie państwo) – teleobiektywy. Tak zaczęła się działalność handlowa, mająca na celu dostarczenie ludom wschodnim (Hindusom,

Pakistańczykom, Nepal czy kom itd.) tego, czego im brakowało z racji cywilizacyjnego zacofania i wielowiekowej, eksploatacyjnej gospodarki kolonizatorów.

Należy zaznaczyć, że już u podstaw przyjęto w Towarzystwie rzadko stosowaną zasadę pułapu zysków. Ustalono, że zyski powinny dać uczestnikowi możliwość odtworzenia swego konta bankowego, jakie miał w chwili wyjazdu, a więc umożliwić następną wyprawę. Niewielkie nadwyżki finansowe były zużytkowywane na zachowanie poziomu życia, który obniżał się w kraju wraz z postępem kryzysu gospodarczego.

Wyprawom – tej i następnym – sprzyjały warunki komunikacyjne, a przede wszystkim konieczność międzylądowania polskich samolotów dla uzupełnienia paliwa w Emiratach Arabskich (Dubaju, Abu Dhabi czy Szardżach). Któż z nas tych chwil nie pomni, a zwłaszcza dźwięków, wydawanych przez butelki z „Jasiem Wędrowniczkiem”, podzwaniające w plastikowych torbach, niesionych ze sklepu wolnoćlowego w Dubaju do naszego samolotu, „Adama Mickiewicza” czy „Tadeusza Kościuszki”? Muzułmanie w Emiratach chętnie pozbywali się alkoholu, zabronionego przez Koran, nawet za bezcen, to jest za dwa do czterech dolarów za butelkę tak cennego płynu. Parę godzin później, w Bombaju, butelki owe uzyskiwały wartość 12 dolarów.

Muszę tu podkreślić, iż mimo, że uczestnicy wypraw często mieli styczność z takimi butelkami, to alkoholu prawie-że nie spożytkowywali, i w czasie wypraw byli trzeźwi, jak sam pan Wokulski.

Handel „tam” zbiegiem czasu zaczął opierać się na bardziej sformalizowanych filarach. Jednym z nich stała się obecność zaufanego odbiorcy różnych naszych drobiazgów (suszarek, sokowirówek, aparatów fotograficznych e.t.c.) na miejscu, człowieka uczciwego i obrotowego. W lipcu 1979 roku stał się nim człowiek, oczekujący nas pod hotelem „Armii Zbawienia” w Bombaju, nazwany „Pan Stasio”. Był to wysoki, tęgi Hindus, prowadzący sklepik w małej uliczce starej części Bombaju, z napisem nad drzwiami: po polsku: – „Sklep Polskich Marynarzy i Turystów” oraz po rosyjsku „Magazin Sasza”. Sklep był na piętrze, a wchodziło się doń przez ciasną bramę, po ciemnych schodach. Z góry, z jakiejś dziurawej rury kapłało coś, co zapewne było fekaliami, a promień słońca, przecinający ciemność klatki, wywoływał w kropkach tęczowe błyski. Tęczą, symbol nadziei, dawała nam ufność w powodzenie stosunków handlowych, jakie tam mieliśmy zawierać. Pan Stasio brał wszystko, jak leci, dawał zapłatę nieco niższą, niż mogliśmy się spodziewać, a za to sprzedawał swój towar - bawełniane sukienki i bluzki indyjskie - po rzeczywiście niskich cenach. Nie bawił się przy tym w ceregiele, udzielał kredytu, ufał swoim gościom. Przez kilka następnych lat członkowie Towarzystwa tu zaopatrywali się w towary, tak chętnie widziane w Polsce ze względu na swą egzotykę. Pan

Stasio, coraz lepiej mówiący po polsku, nastawił się na handel z rodakami. Kilka lat później w wiadomościach telewizyjnych w kraju zobaczyłem wywiad z nim, przeprowadzony na krakowskich Plantach. Mały sklepik zamienił na większy, później założył filię w innym punkcie Bombaju. Miasto to zresztą fascynowało nas blaskiem agatowych wyrobów, sprzedawanych na ulicach koło India Gate, tuż obok przyjaznego hotelu Armii Zbawienia, a agatowe serduszka i krzyżyki już wkrótce fascynowały polskich odbiorców, zwłaszcza panie.

Innym razem (o czym później) w Kairze zbawienną funkcję odbiorcy naszych drobiazgów stał się Mr Ramadan, przedsiębiorczy kupiec, który zaprosił nas do wytwornego, wielopiętrowego hotelu nad Nilem, gdzie na dłuugim stole wyłożyliśmy, co kto miał. Pan Ramadan, po udanej transakcji, zaprosił nas na obiad, wydany na tarasie siedemnastopiętrowego hotelu, z widokami aż po piramidy. Tak inicjowaliśmy, niezależnie od handlowych celów, przyjaźń polsko-egipską.

Zbywanie naszych drobiazgów zazwyczaj odbywało się zbiorowo, metodą maszoperii (Maszoperia – „spółka handlowa okrętowa lub rybacka, działająca na zasadzie pełnego udziału swoich członków w podejmowanych działaniach” – Wielka Encyklopedia PWN, t. 7), a nad jej realizacją czuwał demokratycznie wybrany „starszy od handlu”.

Wraz z postępem inflacji, z roku na rok wzrastały ceny biletów lotniczych, a więc i kosztów własnych. W 1979 r. lot do Bombaju (i z powrotem) kosztował 21 500 zł, w 1980 – już 26 tys. zł, 1981 – do Bombaju i Singapuru 33 tys. zł, 1983 – do Delhi i Singapuru 67 tys., 1984 – to samo za 79 tys., 1989 – do Karachi 311 tys. zł.! Wymuszało to na członkach Towarzystwa stałe zwiększanie obrotów, co odbywało się dzięki powiększaniu asortymentu wywożonych drobiazgów oraz powiększaniem puli zakupów (ale nie powiększaniem cen w kraju, naszej nieszczęśliwej ojczyźnie!). Do drobiazgów wywożonych „tam” doszły: sokowirówki, teleobiektywy, aparaty fotograficzne: Certa, Zenity TTL, Smiena i FED-5, radia: Dorota, Liza, Ada, Monika i Neyva, czterokolorowe latarki – „Lampy Aladyna”, golarki Bebo-Sheer, kuchenki Szmiel, lornetki polowe i teatralne, magnetofony Kasprzaka, flakony kryształowe (tę listę można by długo cytować), a później nawet dzinsy, kurtki puchowe, plecaki i namioty – wszystko w granicach obowiązującego prawa celnego, po jednej sztuce, i to w ramach dozwolonych dwudziestu kilogramów bagażu. Braliśmy pod uwagę, że ludność Indii wynosiła wówczas około 480 milionów mieszkańców! Dla wszystkich i tak nie starczy...

W roku 1981 otworzyły się przed członkami Towarzystwa nowe horyzonty, przez przedłużenie zasięgu tras do Singapuru, stolicy elektroniki, nie znanej wówczas w takim zakresie ani w Indiach, ani w Polsce. Jakim zdumieniem napawało nas metalowe pudełeczko, do którego wsuwało się taśmę magnetofonową i baterię, a uzyskiwało głośną muzykę!

Nazywało się to „Walkman” i kosztowało 40 singapurskich dolarów. W sklepach oglądaliśmy gabloty, pełne błyskotliwych mini-zegareczków na bateryjki, a później, pełni niepokoju, kupowali aparaty fotograficzne Olympus (czy to w kraju „pójdzie“?).

Z biegiem czasu nastąpił też rozrost bazy zaopatrzenia w drobiazgi, nadające się „tam”. Sklepy w kraju, w miarę postępu kryzysu gospodarczego, stawały się coraz uboższe w towary. Niektóre drobiazgi trzeba było kupować w NRD lub Czechosłowacji (też był kiedyś taki kraj), ale z wielką pomocą przyszedł Towarzystwu Główny Uniwersalny Magazyn (czyli „GUM”), znajdujący się w Moskwie na Placu Czerwonym, naprzeciw mauzoleum twórcy socjalistycznego państwa; korzystanie z „GUM-u” wymagało jednak pewnej znajomości w rozkładzie stoisk i pięter. Postoje przesiadkowe w Moskwie były też użyteczne w pozbywaniu się dzinsów i drukowanych koszulek, będących łakomym towarem dla moskwičan. Transakcje odbywały się na stadionie sportowym, na ławkach parku lub w przenośnym wagonie ubikacji, w obawie przed wścibskimi milicjonerami. Tutaj „przebiecia” były wyjątkowo pomyślne.

Równocześnie zmieniał się asortyment kupowanych „tam” towarów, stosownie do aktualnej mody, dyktowanej przez producentów, Od zwykłych prostych bawełnianych sukienek przeszliśmy do „skręcanych”, lekko sprężystych kompletów damskich, a później haftowanych cekinami bluzek z paszczą tygrysa oraz lekkich sandałów damskich.

Niektóre nasze zakupy przesyłaliśmy do kraju pocztą, w pakietach obszywanych białym płótnem. Wymagało to znoonej pracy w hotelowym pokoju, w ciasnocie i upale, zazwyczaj ostatniego dnia przed odlotem do kraju, a następnie wiezienia paczek rikszami na pocztę. Później (ale chyba za późno) zorientowaliśmy się, że pod urzędami pocztowymi siedzą specjaliści od takiego pakowania i obszywania, nawet z gotowymi formularzami przesyłkowymi – wszystko za kilkanaście rupii.

W 1989 roku członkowie Towarzystwa otworzyli z powrotem szlak Marco Polo, czyli „Jedwabny Szlak” (na odcinku od Pamirów do Oazy Turfańskiej), nieczynny od kilku stuleci. Zaowocowało to fenomenalnym zakupem w przygranicznym bazarze pakistańskim - chusteczek damskich, zwiewnych jak mgła, przetykanych błyszczącymi perełkami. Jeden z członków ekspedycji zakupił ich setkę, a dało się je wszystkie zwinąć w niewielki tobołeczek! Mankamentem był ich przykry fabryczny zapach, zmuszający później do długotrwałego wietrzenia na balkonie we Wrocławiu. Ale tzw. „przebiecia” było 4-krotne! Innym towarem, wiezionym przez uczestników po pustyniach Azji Środkowej, były chińskie owerloki, ciężkie maszyny do tkania, które potem były zbywane w kraju z wielkim trudem.

W 1990 roku Towarzystwo objęło swoim zasięgiem również i kraje Afryki Wschodniej (zgodnie z definicją „Handlu ze Wschodem”). Bilet do Dar es-Salaam kosztował już 1 milion 300 tys. złotych. Asortyment drobiazgów został tu powiększony o latarki-wiatraczki i okulary przeciwsłoneczne, a nawet o ubrania w pepitkę i tenisówki (dla biednych Murzynów). Nie wieźliśmy jedynie paciorków i drutu miedzianego, o czym ongiś, w wieku młodzieńczym, czytaliśmy w książkach. Towar „stamtąd” objął rzeczy unikalne: przedmioty sztuki ludu Makonde (rzeźby, maski) oraz krowie ogony – insygnia wodzowskie, kupowane niekiedy metodą „towaru za towar” (handel wymienny, czyli barter, jest to „ekonomiczna wymiana bezpośrednia bez udziału pieniądza, najstarsza forma wymiany” – patrz Wielka Encyklopedia PWN, t.3). – na przykład figurki z mahoniu za enerdowskie aparaty fotograficzne Certo.

Szeroką dyskusję wywołał w 1986 roku projekt wyprawy Towarzystwa do Peru, jako kraju, nie odpowiadającego definicji „Wschodu”. Dopiero bliższe przyjrzenie się globusowi uświadomiło członkom, że Peru leży też na wschód, aczkolwiek nie na wschód od Warszawy, a od Singapuru. Ten wyjazd był równie szczęśliwy dla wszystkich Wysokich Układających się Stron, a to głównie dzięki pomocy alpinistów (naszych i peruwiańskich), którzy ułatwili transfer wszelkich skafandrów, śpiworów i plecaków polskiej produkcji do potrzebujących tego Peruwian. Przy powrocie z Limy (przez Pragę, a było to w styczniu)) na pewno nie zmarzliśmy, gdyż mieliśmy pod dostatkiem swetrów z wikuni, kurtek wełnianych i indiańskich czapecek „czulio”.

Kolejne wyprawy przynosiły wiele radości miłośnikom egzotyki, mogącym zaspakajać również swoje ambicje kolekcjonerskie. Indonezja (w 1987 roku, koszt biletu 182 tysiące) dostarczyła możliwości zakupu ślicznych bransoletek ze skóry i biżuterii z macicy perłowej kolczyków i klipsów; z kolei Birma (1986, 240 tysięcy zł.) – jeszcze piękniejszych toreb skórzanych, tłoczonych w kolorowe wzory .

Kilka wypraw Towarzystwa do Turcji (pobytowych i przejezdnych) umożliwiło zapoznanie się z tureckim przemysłem kozuszniczym, który wówczas świętował swój rozkwit (przypominam, iż trwał on aż do uświadomienia ludności Europy, że noszenie futer z tych biednych baranów, to hańba ekologiczna). Wyprawa egipsko-turecka (1988 r., koszt biletu 149 tys. zł.) pozwoliła na dostarczenie do naszej nieszczęśliwej ojczyzny pięknych skórzanych portfeli i mitologicznych obrazków malowanych na prawdziwym papirusie.

W tym miejscu należałoby odsłonić (a czynię to z pełną odpowiedzialnością) kulisy właściwej, dotąd ukrywanej idei istnienia Towarzystwa. Otóż, oprócz działalności handlowej, Towarzystwu przyświecał tajny cel: poznawanie świata. Udając handlowców, członkowie

Towarzystwa przemierzali egzotyczne szlaki, pasjonowali się światem raf koralowych, zaglądali do wulkanów Indonezji i podziemnych grobowców faraonów, wspinali się na Huayna Picchu i Mount Kenya, oglądali nocne tańce rytualne na Bali, brali udział w mszach, odprawianych w językach hindi, tamilskim, malajskim czy suahili. Te niezbywalne wrażenia utrwalali później w licznych konwentyklach, wieczorkach wspomnieniowych i opowiadaniach, przekazywanych wnukom. Była to, jak wspomniałem, działalność tajna, równa w przybliżeniu działalności łóż masońskich lub innych sekretnych stowarzyszeń, tak obrazowo opisywanych ostatnio w sensacyjnej literaturze (vide Dan Brown etc).

Nie wszystkie wyprawy były w stu procentach szczęśliwe. Na jednej z nich członkini Towarzystwa znalazła się niespodziewanie bez pieniędzy (bo zawiesiła swój pasek biodrowy z walutą na wieszaku we wspólnej łazience i zostawiła go tam). Innym razem w czasie tak nazwanej „bitwy pod Patną” (w północnych Indiach) celnicy zarekwirowali uczestnikom wszystkie butelki, przywiezione ze sklepu wolnocłowego w Katmandu, a było tego sporo (wszystko na własny użytek, jak zapewniali). Wielokrotnie, zwłaszcza w krajach skorumpowanych, trzeba było celnikom „odpalać” różne upominki, aby przepuszczali nasze skromne plecaki i torby.

Każdy powrót do kraju przynosił emocje (i wzrost adrenaliny), gdy trzeba było przejść przez bramkę celną (obsadzoną celniczkami, którym często bardzo podobały się przywożone naszyjniki agatowe czy granatowe); niekiedy dochodziło do opłacania cła, nawiasem mówiąc, niewielkiego. Później życie ułatwiło nam wprowadzenie „zielonych bramek”, które przez nas, jako sympatyków ekologii, były szczególnie umiłowane.

Podobnie niepowodzeniem zakończyła się inicjacja nowego szlaku handlowego – „Szlaku Bursztynowego”. Niektórzy członkowie Towarzystwa próbowali zainicjować handel bursztynem, pochodzącym z Bałtyku, wśród mieszkańców wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Próba nie powiodła się. Bursztyn nie był tutaj znany, i nie pomagały nawet pokazy znojnego tarcia wyrobów bursztynowych dla ukazania ich właściwości przyciągania skrawków papieru. Bursztyny wróciły nad Bałtyk.

Przywóz towarów „stamtąd” wymagał sprawnej organizacji systemu pozbywania się ich w kraju. Wielkie zainteresowanie egzotycznymi zakupami, okazywane przez sąsiadów i koleżanki z pracy, nie było na rękę idei Towarzystwa i zasadom Stanisława Wokulskiego. Członkowie wykorzystali więc sieć sklepów komisowych, jakie wówczas powstawały jak grzyby po deszczu. Pozwalało to na legalne, odpłatne przekazanie towarów nabywcom, a i ubogi Skarb Państwa (w naszej nieszczęśliwej ojczyźnie) odnosił z tego zysk w postaci

podatków od transakcji. Nieco zdenerwowania przynosił uczestnikom wypraw koniec każdego roku, gdy trzeba było sporządzać zeznanie podatkowe, ale odbywało się to, na szczęście, z niewielkimi kłopotami.

W przypadku Towarzystwa do Handlu ze Wschodem koniec ten nastąpił niedługo po przemianach politycznych, nazwanych ""powstaniem Trzeciej Rzeczypospolitej". Ku naszemu nieszczęściu powstał wolny handel. Poza tym byle łamaga mógł sobie wyrobić paszport – różne handełesy rzuciły się do hurtowego handlu i sprowadzania całymi kontenerami tego, co członkowie Towarzystwa z takim trudem zdobywali i na własnych barkach dostarczali do ojczyzny. Upadły radości, płynące z samego przeżywania transakcji kupna i sprzedaży i odkrywania coraz to nowych szlaków handlowych, radości, które weszły nam w krew. Ale wspomnień nikt nam nie zabierze i lata działalności Towarzystwa będziemy wspominać z łezką w oku, ale i z niejaką dumą podróżników i odkrywców.